

Szczecin zachęca, by zawijać do Ekoportów. Sprytny kapitan w Galerii Szpargałek wypatrzy nawet kolekcjonerskie perełki w stylu art déco.

W Chorzowie takie miejsce jest nazywane swojsko Sorcikiem.

Poznań określa go mało romantycznym mianem Gratowiska.

A Stalowa Wola – Rupieciarnią.

Najbardziej podoba mi się wersja krakowska. Lamusownia.

W ogrodzie dworskim — na uboczu, w chmielach, stał odwieczny dziwaczny budynek. Spód miał z bali sosnowych, grubych, żywicznych, przeciętych maluchnemi, okratowanemi okienkami, mocno podobnemi do strzelnic. Drzwi były dębowe, opatrzone zamkiem i ryglami i sztabą zasunięte. Belki wystawały na parę łokci i tworzyły podsienie oparte na wycinanych toporem misternie słupach, na tych belkach leżała podłoga piętka. Bo było i piętro — uczynione jak wielka klatka, przykryta dachem z oczeretu i zakończona blaszaną chorągiewką, na której był wycięty rok 1737. Na piętka wchodziło się po schodach z dolnej galerji i gospodarzył tam ogrodnik i klucznica, gdyż w przewiewnej salce był skład narzędzi i spiżarnia; klucz od dębowych drzwi był zawsze u samego starego pana. Budynek ten, zabytek drewnianej architektury, zwano lamusem.

We dworze zmieniło się wszystko, ludzie i rzeczy.

Były pożary, kłęski, przychodziły zmiany stosunków i warunków — przebudowano gumna i obory, czworaki, oficyny, dom mieszkalny — tylko lamus trwał. (...) Dzieci zaglądały często przez zakratowane okienka. Stały tam stare kufry, sprzęty połamane i zakurzone, leżało jakieś żelastwo — nic warte rupiecie. (...) Wiosną, w kwietniu, chłopak wążając się po sadzie, zobaczył drzwi lamusa otwarte, i zajrzawszy tam, zastał dziada siedzącego nad skrzynią, z której dobywał stare rusznice.

—To dziadunio ma całe muzeum starej broni — rzekł zaciekawiony.

—(...) Jak umrę, to tu nikt się nie zorjentuje. A tu i cenne rzeczy są — ot te dwie szable — sprzedałem je — wziąłem tysiąc rubli — unikaty. Są u nas od barskiej konfederacji. Dobrze były schowane — tyle lat w ziemi leżały — plamki rdzy mają — a może krwi...

—Skąd dziadunio wie, że one z barskiej konfederacji?

—Zapisane jest — tam w tym kufrze, w papierach.

(...) Odłożył szable na bok, jął ze skrzyni wydobywać strzelby i wycierać je z zimowej pleśni. Słońce biło całą pełnią do tej izby mrocznej, i starzec każdą sztukę broni pieścił, polerował, cieszył się tym widokiem. Zaciekawiony chłopak obok niego usiadł, przyglądał się

*—pisała w wydanym w 1931 roku opowiadaniu *Lamus* Maria Rodziewiczówna. Tytułowy budynek dawniej wchodził w skład dworskich zabudowań i był przeznaczony do przechowywania cennych dokumentów i zbroi. Gdy lamusy zaczęli stawiać chłopi, trzymali w nich sprzęt*

gospodarczy, narzędzia do pracy w polu, zboże i zapasy żywności. Później przeznaczenie budynku się zmieniło: znoszono doń stare rupiecie. Stół z powyłamowanymi nogami, kredens o zbitej szybie i zerwanych zawiasach, obtłuczone naczynie gliniane. Mówiło się: odeszły do lamusa, czyli wyszły z użytku.

Dziś lamusy istnieją w każdej gminie albo związku gmin. Poza nielicznymi wyjątkami nazywają się tak, jak ustawa przewiduje – Punktami Selektywnej Zbiórki Odpadów Komunalnych. W skrócie: PSZOK.

Pojawiły się na mocy przepisów z 2013 roku, kiedy to samorządy zostały zobligowane do zorganizowania na swoim terenie co najmniej jednego takiego punktu, który przyjmowałby od mieszkańców odpady problematyczne. Jakże? Takie, co ze względu na swój rozmiar albo rodzaj nie mogą lub nie powinny trafiać do zwykłego kosza na śmieci. Bezużyteczne rupiecie, ale i odpady niebezpieczne. *Przeterminowane leki i chemikalia, zużyte baterie i akumulatory, zużyty sprzęt elektryczny i elektroniczny, meble i inne odpady wielkogabarytowe, zużyte opony, odpady zielone oraz odpady budowlane i rozbiórkowe stanowiące odpady komunalne* – wylicza ustawa o utrzymaniu porządku i czystości w gminach. Plus odpady zbierane na danym terenie selektywnie, jak papier, szkło, plastik, metale, bio i opakowania wielomateriałowe. Oczywiście nikt gminom nie broni poszerzyć tej listy na własną rękę. Nierzadko jednak jest przeciwnie, mieszkańcy uskarżają się na trudności z oddawaniem do PSZOK-ów niektórych rzeczy. Postanowiłam przyjrzeć się temu, a przy okazji sprawdzić, jak się w Polsce miewa drugie życie odpadów problematycznych.

–*Zapraszamy do nas, nie do lasu!* – krzyknął, odsuwając bramę. Wybiła czternasta, pora otworzyć podwoje. Na wjazd czekały już dwa samochody i ja – z tobołkiem zbieranych od roku przedmiotów. W Warszawie działały dwa Punkty Selektywnej Zbiórki. Jeden w odległości czterdziestu minut jazdy komunikacją miejską od mojego domu, drugi – prawie godzinę w jedną stronę. Nie opłacało mi się z pojedynczymi rzeczami drałować przez pół miasta. Czekałam więc, aż odkładane baterie, przepalone świetlówki i uszkodzone ładowarki przykryją chociaż dno torby. Dorzuciłam jeszcze młynek do kawy, który dzielnie stawiał czoła ziarnom, ale poległ w starciu z nasionami słonecznika. Parę kartridży z domowej drukarki. Trochę makulatury z kosza, aby bardziej uzasadnić wyprawę. I pojechałam.

Tuż za bramą na mieszkańców czekała waga samochodowa. Kto dotarł do PSZOK-u autem, musiał najpierw zatrzymać się na metalowych płytach i spisać wynik. Chyba że na pierwszy rzut oka widać było, że pojazd waży mniej niż trzy i pół tony: do punktów mieszkańcy mogli zwozić rupiecie samochodami osobowymi lub dostawczymi, ciężarówki natomiast rodziły podejrzenia. Mogły z nich korzystać firmy, które odpłatnie czyściły piwnice ze starych mebli lub odbierały gruz

po remoncie, a po wszystkim bezpłatnie pozbywały się problemu w gminnym PSZOK-u. Dlatego istniał zakaz oddawania do punktu odpadów pochodzących z działalności. Ciężarówki miały więc wstęp wzbroniony.

PSZOK był dużym placem z rzędami podpisanych kontenerów. – *Tu mamy części samochodowe i opony. Tutaj telewizory i monitory, sprzęty elektryczne i elektroniczne. Rozumie pani?* – tamte dwa auta rozładowały się i odjechały, nikt nowy nie zajrzał. Sama wałęsałam się pomiędzy kontenerami, więc on – pracownik punktu – zgłosił się na ochotnika do oprowadzenia. Ja byłam ciekawska, on nie miał nic lepszego do roboty. – *W tym kontenerze drewno, czyli gałęzie i palety. A tu drewno niebezpieczne, w sensie nasączone różnymi środkami. Makulatura. Metale* – przechodziliśmy tak od kontenera do kontenera. W jednym z nich dno przykryły zbite szyby. – *Tu mamy szkło okienne i lustra. Kiedyś lustra były osobno, teraz lecą do tego samego. Tylko opakowaniowe trafia do innego miejsca. Bo wie pani, że do tego osiedlowego „dzwona” ze szkłem to też nie wolno wrzucać szyb i luster? Nawet stłuczonych kubków nie można i szklanek. To i to szkło, ale inne, rozumie pani?* – pokiwałam głową w milczeniu i spojrzałam na kilka smutnych połamanych taboretów obok. – *A, bo tutaj mamy odpady wielkogabarytowe, czyli meble. A zaraz dalej materace* – wyjaśnił. Cztery sztuki oparły się o brzeg kontenera, mokły w kałuży. Były akurat roztopy. Co dalej będzie się działo z tymi odpadami? – *Nie wiem, na razie stoją* – odpowiedział rozbrajająco. – *Miasto ma kilka miesięcy na wyłonienie oferenta. Kiedyś PSZOK-iem zarządzała taka firma, potem przetarg wygrała inna i przenieśliśmy się do nowego miejsca, na drugą stronę ulicy. Ale my jesteśmy pracownikami miasta i nas głównie obchodzi to, żeby przyjąć rzeczy od mieszkańców albo pokierować ich do rozładunku przy odpowiednim kontenerze. Ruch jest głównie w soboty. Ostatnio kobieta przywiozła cztery tony gruzu poremontowego, chyba najwięcej, ile do tej pory widziałem. Co ludzie zwykle przywożą do PSZOK-u? Przede wszystkim to gruz i gabaryty.*

Nowelizacja „ustawy śmieciowej” w 2013 roku zobowiązała gminy – samodzielnie, wspólnie z inną gminą lub gminami – do zorganizowania na swoim terenie co najmniej jednego stacjonarnego PSZOK-u. Pięć lat później, w 2018 roku, w Polsce działały 1752 punkty – można je więc było znaleźć w zaledwie siedemdziesięciu procent gmin. Jeśli przyjrzymy się bliżej statystykom, dowiemy się, że do PSZOK-ów mieszkańcy przywozili przede wszystkim biodegradowalne odpady zielone oraz gabaryty – meble, ale też przedmioty, które ze względu na spory rozmiar nie zmieściły się w osiedlowym koszu. Materace, rowery, wózki dziecięce. Ale największym potokiem zmierzały do punktów odpady budowlane i poremontowe. W miastach stanowiły one nawet trzy czwarte całego „dobra” trafiającego do PSZOK-ów.

W znakomitym reportażu Beaty Chomętowskiej *Betonia. Dom dla każdego* jest piękna scena, jak po wyburzeniu starych bloków w dawnej Niemieckiej Republice Demokratycznej betonowe płyty otrzymały drugie życie. Wykorzystał je architekt-wizjoner, który był świadom wartości

surowca (...są niczym wino – im starsze, tym lepsze. A na pewno mocniejsze). Ze zdekompletowanych ścian czyjś mieszkania, wciąż ozdobionych tapetami, złożył pod Berlinem dwupiętrową willę, stylem nawiązującą do prac znanych modernistów. Budynek był nie tylko piękny, ale i ekologiczny. Nowi lokatorzy, dzięki właściwościom płyt z wysokościowca, płacili o trzydzieści procent niższe rachunki za ogrzewanie niż ich sąsiedzi z domów z cegieł.

Reszta skorupki po blokowisku trafiła do recyklingu.

Beton z wyburzanych konstrukcji zasługuje na drugie życie – zapewniają naukowcy z Politechniki Białostockiej. To przecież mieszanka cementu i kruszywa: produkcja tego pierwszego emituje spore ilości dwutlenku węgla, a o niedoborach kruszywa mówi się przy okazji każdego boomu budowlanego. Obecnie dwa procent kruszyw potrzebnych do stawiania domów mieszkalnych, mostów i dróg pochodzi z obszarów morskich, pięć procent z recyklingu, dwa procent stanowią kruszywa sztuczne, ale aż dziewięćdziesiąt jeden procent – naturalne. W tym piasek, którego na świecie jest jak na lekarstwo. Przekonują się o tym kraje, które gwałtownie się rozwijają w szerz i w wżyz. Weźmy na przykład Singapur. Od uzyskania niepodległości w 1965 roku powiększył on swoje terytorium o jedną piątą, głównie poprzez wydłużanie linii brzegowej usypanym piaskiem. Indonezja, od której Singapur kupował niezliczone ilości tego surowca, przypłaciła eksport zniknięciem z mapy kilkunastu piaszczystych wysp. Albo Chiny: tylko między 2011 a 2013 rokiem zużyły więcej betonu niż Stany Zjednoczone w całym dwudziestym wieku. A Zjednoczone Emiraty Arabskie? Do wybudowania przeszklonego drapacza chmur Burdż Chalifa użyto stu dziesięciu tysięcy ton piasku. Co ciekawe, leżący przy jednej z największych pustyń świata kraj musi importować surowiec aż z Australii, bo lokalne diuny nie nadają się do konstrukcji.

Jeśli chodzi o Polskę, jesteśmy w czołówce producentów piasku. Ale! *Według prof. Mariusza Oriona Jędryska, głównego geologa kraju, nielegalne wydobycie kruszyw, w tym piasku i żwiru, sięga w Polsce siedemdziesięciu milionów ton rocznie (co odpowiada połowie legalnego wydobycia). Materiał ten jest wart miliard złotych. Nielegalnie działa prawdopodobnie aż trzy tysiące z ośmiu tysięcy polskich kopalń kruszyw – pisał w 2016 roku Tygodnik Polityka.* Tańsze i bardziej przyjazne dla środowiska jest ponowne wykorzystanie gruzu.

Recykling materiałów porozbiórkowych nadal nie jest jednak powszechny. Mimo to są w Polsce firmy, które się tym zajmują. Najpierw specjalne maszyny przesiewają gruz, oddzielając od niego plastik, metal, drewno. Wolny od zanieczyszczeń materiał trafia do następnej maszyny i jest rozdrabniany na kruszywo. *Po zakończeniu procesu zaledwie dziesięć procent odpadów nie jest podatne do ponownego wykorzystania* – chwali się wrocławska Skiptrans, firma zajmująca się recyklingiem gruzu. Odzyskane kruszywo budowlane wykorzystuje się do podbudowy dróg i chodników, do budowy parkingów, jako składnik mieszanki do asfaltu i betonu oraz wypełniacz przy budowie fundamentów.

Jeśli budujemy dom albo remontujemy mieszkanie, gruz możemy przekazywać bezpośrednio do takich firm. Należy wówczas zamówić odpowiedniej wielkości kontener (zwykle od dwóch do siedmiu metrów sześciennych) albo mniejszy pojemnik, tak zwany big bag, idealny do drobnych prac odświeżających. W umówionym terminie i miejscu firma podstawia kontener, a po kilku dniach, czasem po tygodniu, odbiera. Warto jednak uważnie czytać oferty – jest w nich zapisane, czego nie możemy wyrzucać razem z gruzem. Są to choćby: zużyty elektroprzęt i odpady komunalne z domu, a czasem również ceramika łazienkowa i armatura, a także meble czy papa z dachu. Firma, której powierzymy gruz, musi być zaufana i sprawdzona – może to być na przykład duży operator, odbierający odpady w naszej okolicy. Zbyt niska cena usług powinna wzbudzić czujność i wyświetlić przed oczami smutny obrazek, na którym fragmenty naszego mieszkania trafiają nie do recyklingu, tylko dołu w pobliskim lesie. Osobiście zawsze proszę firmę o wystawienie rachunku. Na wypadek gdyby moje odpady miały w cudowny sposób „wyparować”, w księgowości pozostanie po nich ślad.

I tak, odbiór gruzu przez prywatne firmy jest płatny. Koszt zależy od miejscowości, wielkości kontenera i rodzaju odpadów – zazwyczaj trzeba się liczyć z kwotą kilkuset złotych. W ogólnym kosztorysie remontu mieszkania nie jest to może znacząca pozycja, ale jeśli chcemy się pozbyć gruzu za darmo, możemy sami zawieźć go do PSZOK-u. Materiałów pobudowlanych nie można zostawiać na osiedlowym śmietniku, więc jest jedyną legalną i nieodpłatną możliwością pozbycia się cegieł, tynku i ceramiki łazienkowej jest przekazanie ich do punktu, który zależnie od możliwości, użyje gruzu do rekultywacji terenów, budowy wałów przeciwpowodziowych i utwardzania dróg albo przekaże na składowisko. Ale! Gdy już dotrzemy ze swoimi „skorupkami” do najbliższego PSZOK-u, niewykluczone, że u bram będzie nas czekała przykra niespodzianka.

– Oddawanie do PSZOK-u jest świetną opcją, tylko... ostatnio odmówili mi odebrania moich śmieci, bo przywozłam je samochodem mojego taty, który ma firmę remontową. Uznano więc, że to są śmieci firmy. Tylko pytanie: jak mam je inaczej zawieźć? Na własnych plecach czy na rowerze? Przecież to jasne, że najłatwiej dużym samochodem, a takie samochody to zazwyczaj samochody firmowe. Jakiś Paragraf 22 – skomentowała Ruda mój blogowy artykuł o pozbywaniu się problematycznych odpadów. Parę komentarzy niżej pytanie zadała Ewa: – A wiesz może, co zrobić ze styropianem połączonym z papą? Sąsiadowi zwiąło ocieplenie z dachu podczas wichury. W PSZOK-u powiedzieli, że owszem przyjmują styropian i papę, ale osobno, a razem to już nie. I co teraz?

Przepisy, które zobowiązały gminy do zorganizowania na swoim terenie punktów, pozostawiły im jednocześnie wybór: mogły prowadzić PSZOK-i same albo powierzyć to firmie wyłonionej w przetargu. Jeśli wybrały drugą opcję, płaciły zewnętrznemu podmiotowi stałą kwotę.

W mniejszych miastach to około siedemdziesięciu pięciu tysięcy złotych rocznie, w większych – niespełna sto tysięcy. Tyle że koszty prowadzenia PSZOK-ów zwykle były wyższe. Gminy i operatorzy punktów podawali, że w miejscowościach od piętnastu do pięćdziesięciu tysięcy mieszkańców wartość sięgała stu pięćdziesięciu pięciu tysięcy złotych, a w miastach powyżej pięćdziesięciu tysięcy dusz – nawet do dwóch milionów złotych rocznie. Większą część tych kwot pochłaniały wydatki związane z zagospodarowaniem odpadów. I tu pojawiał się problem. Bo jeśli firma za swoje usługi otrzymywała ryczałt, i to niepokrywający jej potrzeb, nie miała interesu w zachęcaniu mieszkańców do przynoszenia odpadów. To przecież spotęgowałoby koszty i zmniejszyło opłacalność. Nie pomagał również ustawodawca, który choć wyliczył, jakie odpady na pewno muszą być przyjęte przez PSZOK, na liście bynajmniej nie uwzględnił wszystkich niebezpiecznych i problematycznych rzeczy, których pozbywamy się z domów. Poszczególne punkty tworzyły więc regulaminy na własną rękę i decydowały: to, drodzy mieszkańcy, możecie przywozić, a na tamto macie ban.

Szczecinianin nie zawinie do Ekoportu z szybami okiennymi i drzwiowymi. Nie odda też luster.

Mieszkaniec Wejherowa nie przekaże do PSZOK-u wełny mineralnej po dociepleniu domu, smoły ani lepiku.

A lublinian – nawet opakowań po farbach i lakierach.

Nie zawiezie ich też do sąsiedniej gminy, która być może przyjmuje takie odpady, ale wyłącznie od swoich mieszkańców. Na tę okazję punkty mają w regulaminach zapis o wylegitymowaniu się interesanta dowodem osobistym albo książeczką opłat za wywóz śmieci.

– Rozmawiałem ze znajomym, który robił remont w mieszkaniu i miał do oddania gruz i płytę gipsowo-kartonową. Gruz mu przyjęli, a z płytą kazali wracać do domu. Powinna trafić do PSZOK-u, ale PSZOK zasugerował mu, żeby ją wrzucił do zmieszanych. Z gruzem nie ma problemu, bo punkt go rozkruszy i otrzyma podsypkę, a z płytą nie ma co zrobić – opowiadał Paweł Głuszyński z Towarzystwa na rzecz Ziemi.

Idźmy dalej. Chorzowianin nie pozbędzie się w PSZOK-u papy ani odpadów zawierających azbest.

Podobnie warszawianin. Będzie musiał zawrócić również ze styropianem budowlanym.

Mieszkaniec Stalowej Woli, oprócz azbestu, nie odda do Rupieciarni również eternitu.

Krakowianin jednorazowo może zawieźć do Lamusowni maksymalnie sto kilo gruzu, szczecinianin do Ekoportu – sto dwadzieścia pięć kilogramów. Całe gospodarstwo domowe w Toruniu ma prawo nieodpłatnie przekazać do PSZOK-u metr sześcienny „skorupek”. O ile nie są wzbogacone azbestem i eternitem.

Sprawa z nimi jest na pierwszy rzut oka prosta: pokrycie dachowe mogą usuwać wyłącznie

wykwalifikowane i posiadające zezwolenie ekipy, więc teoretycznie „zwykły Kowalski” nie ma po co jechać do punktu z azbestową papą pod pachą. Ale co, jeśli azbest z dachu zerwie wichura? Zapytałam o to Ministerstwo Środowiska. – *Gmina jest zobowiązana, w zamian za pobraną opłatę za gospodarowanie odpadami komunalnymi, zapewnić właścicielom nieruchomości pozbywanie się wszystkich rodzajów odpadów komunalnych, przy czym rozumie się przez to odbieranie odpadów z terenu nieruchomości objętych gminnym systemem, przyjmowanie odpadów przez punkty selektywnego zbierania odpadów komunalnych (PSZOK) oraz zapewnianie przyjmowania tych odpadów przez gminę w inny sposób* – udzieliła odpowiedzi na moje pytanie Małgorzata Typko, zastępczyni dyrektora Departamentu Zarządzania Środowiskiem. Gmina ma prawo ograniczyć ilość przyjmowanych w PSZOK-ach opon, gabarytów i gruzu w ramach pobieranej co miesiąc opłaty. W takim wypadku jednak rada gminy musi uchwalić inny sposób odbierania tych problematycznych odpadów. Jako dodatkowa usługa będzie ona oddzielnie płatna. – *Jednocześnie informuję, że w przypadku gdy gmina nie podejmuje działań w związku ze zgłaszanymi przez mieszkańców nieprawidłowościami, na przykład nie jest zapewnione przyjmowanie odpadów komunalnych od właścicieli nieruchomości, można złożyć skargę do rady gminy. Jeżeli zaś rada gminy nie podejmie odpowiednich działań, kolejno do wojewody* – poradziła specjalistka z ministerstwa.

Dobra, ale co w sytuacji, gdy ten kawałek papy już leży na naszej posesji? Albo mamy nadbagaż gruzu – teraz, nie potencjalnie w przyszłości – i stoimy pod bramą Punktu, nie mogąc oddać odpadu. Jakie jest wówczas wyjście, jeśli mimo wszystko chcemy, by śmieci zostały prawidłowo zagospodarowane? Małgorzata Typko z resortu środowiska, powołując się na przepisy prawne, wyjaśniła, że *wytwórca odpadów (czytaj: mieszkaniec) zobowiązany jest przekazać odpady do zagospodarowania wybranemu przez siebie podmiotowi, ale wyłącznie takiemu, który posiada odpowiednie zezwolenie na zbieranie lub przetwarzanie tych odpadów.*

Istotnie, są firmy specjalizujące się w odbiorze gruzu poremontowego i starych mebli. Istnieją też takie, które po duży sprzęt przyjeżdżają bezpośrednio do domu. Nie brak licencjonowanych przedsiębiorstw, usuwających azbest z dachu. Ale! One w większości działają w miastach. W małych gminach takich firm nie uruczysz. Bez problemu natkniesz się za to na śmieci porzucone w lesie.

Pamiętam, jak któregoś razu, podczas warsztatów, wdałam się z uczestnikiem w krótką pogawędkę o tym, że pozbywanie się problematycznych odpadów jest zbyt skomplikowane. I mimo dobrych chęci człowiek czasem napotyka mur. – *Nic dziwnego, że wywożą śmieci do lasu* – spointował ze smutkiem. Fakt, doły w ustronnym miejscu są jak samonapełniające się naczynie: ledwie zostaną posprzątane, znów pękają w szwach. Kilka lat temu Najwyższa Izba Kontroli zajrzała do koszy dwudziestu dwu gmin (to zaledwie ułamek wszystkich jednostek terytorialnych w

kraju): sprawdziła, jak radzą sobie z selektywną zbiórką i poziomem recyklingu, czy edukują mieszkańców i jaki mają pomysł na „martwe dusze” unikające opłat za wywóz odpadów. Naliczyła wtedy ponad pięć i pół tysiąca dzikich wysypisk – tylko na terenie kontrolowanych gmin! Za przyczynę ich powstawania NIK uznał między innymi *brak możliwości oddania do utworzonego przez gminę punktu selektywnej zbiórki odpadów komunalnych niektórych rodzajów odpadów powstających w gospodarstwie domowym, a często spotykanych na „dzikich wysypiskach”, zwłaszcza tak zwanych gabarytów, zużytych opon, farb i lakierów.*

Nie tylko jednak odpady poremontowe spędzają sen z powiek tym, którzy chcą w sposób legalny i przyjazny dla środowiska pozbyć się z domu problematycznych przedmiotów i cieczy.

Krakowska Lamusownia na przykład, choć przyjmuje zużyte opony razem z felgami, nie życzy sobie elementów karoserii i tapicerki.

Ekoport w Szczecinie nie przyjmuje szyb i foteli samochodowych, igieł i strzykawek po iniekcji, cateringowych opakowań ze styropianu oraz jadalnego oleju.

Oleju po smażeniu frytek czy pączków nie chce też gdański PSZOK. Radzi, by zlać tłuszcz do butelki, zakręcić korkiem i wrzucić do kosza na zmieszane. Bo wylewać do toalety nie wolno.

Generalnie, jak podawało branżowe pismo *Recykling* w 2017 roku (czyli cztery lata po powołaniu do życia PSZOK-ów), trafiało do nich zaledwie kilka procent wszystkich zebranych przez gminę odpadów. Jedną z przyczyn marnych statystyk była lokalizacja punktów – często poza obszarami zamieszkania, czyli inaczej, niż nakazywała ustawa. Przepisy mówiły, że PSZOK-i mają być łatwo dostępne dla mieszkańców. Ale jednocześnie nie określały, jak powinny funkcjonować. Gminy więc, mając w tym zakresie dużą swobodę, radziły sobie każda po swojemu. Ci zarządcy, którzy korzystali z zagranicznych wyjazdów studyjnych, po powrocie uskuteczniali zachodnie pomysły na swoich terenach. Montowali specjalne podjazdy dla samochodów, by mieszkańcy sprawnie i bez tarasowania drogi innym mogli wyładować swoje odpady. Albo budowali systemy lokalnej kanalizacji, by kałuże przypadkowo rozlanych chemikaliów trafiły do bezodpływowych studzienek i nie zanieczyściły gleby albo wody pitnej. Inni korzystali z zastanej infrastruktury, uzupełniając ją jedynie o wymagane kontenery. A że istniejące zakłady przetwarzania odpadów znajdują się zwykle na uboczu, dla mieszkańców korzystanie z takich PSZOK-ów oznaczało pokonywanie znacznych odległości. Zamiast więc poświęcać mnóstwo czasu i środków na dojazd, woleli – mimo że to karygodne, a często też nielegalne – cisnąć problematyczne odpady do altanki śmietnikowej. Dlatego Bielsko-Biała była wyjątkowym przypadkiem w skali kraju.

W 2016 roku do tamtejszych punktów trafiło ponad siedemnaście procent wszystkich odebranych w mieście odpadów. To dużo, jeśli miasto porównamy z nieco mniejszymi Tychami

(cztery procent), trochę większym Sosnowcem (prawie sześć procent) czy sporo większym Wrocławiem (pół procenta). Udało się to w dużej mierze dzięki lokalizacji. Pierwszy punkt powstał w Bielsku-Białej w lipcu 2013 roku. Przy Zakładzie Gospodarki Odpadami – pół godziny jazdy zbiórką, za długo. Drugi natomiast otwarto kilka lat później przy popularnym centrum handlowym. Rodziny jechały na większe zakupy i przy okazji zahaczały o PSZOK. A ten dodatkowo zachęcał do odwiedzin cyklicznymi akcjami edukacyjnymi: wymieniał torby albo drzewka za surowce, przekonywał, że kompostownik to cud życia.

Odpady, które bielszczanie przekazywali do punktów, były w miarę możliwości maksymalnie zagospodarowywane. Gabaryty jechały do stacji demontażu, gdzie odzyskiwano z nich stal, drewno, sklejkę, tworzywa sztuczne i tekstylia. Trawa, liście i pocięte gałęzie z przydomowych ogródków trafiały do kompostowania. Do sortowni wysyłano zebrane selektywnie szkło, papier, karton, plastik i opakowania wielomateriałowe, które były tam belowane i odsprzedawane do firm zajmujących się recyklingiem. Popiół zmierzał bezpośrednio na składowisko, gruz przed składowaniem był dodatkowo kruszony. Natomiast zużyty sprzęt elektryczny i elektroniczny kierowano do magazynu odpadów niebezpiecznych, a po zebraniu większej ilości przekazywano do wyspecjalizowanych firm, aby te mogły go przerobić, odzyskać, poddać recyklingowi albo unieszkodliwić zgodnie z obowiązującymi przepisami.

Do jednej z takich firm pojechałam, by przyjrzeć się procesowi z bliska.

Koniec fragmentu książki „Nie śmieci”.

Chcesz przeczytać całość?

[Kliknij i kup książkę w wersji elektronicznej.](#)

[Kliknij i zamów w przedsprzedaży drugie wydanie książki wytworzonej w sposób maksymalnie przyjazny dla środowiska.](#)